

Z prac ś. p. Witolda Gozdawy-Godlewskiego *).

Nadczłowieczeństwo wobec życia.

Oto słucham—i idą ku mnie zdaleka wszystkie myty i wszystkie legendy, jakimi ludzkość znaczyła historię swojego duchowego rozwoju. Długie, tęskne echa biegną stamtąd i przynoszą mi, czy to proste słowa mądrości, zawartej w chińskich księgach King, czyto panteistyczne roztajemniczenie „Manu“ indyjskich, czy nerwowe, wizyjne majaczenie semickich proroków... Słucham — mówią do mnie magowie i bramini, mówią uczeni i astrologowie, mówią sfinksy egipskie i gwebryjskie ołtarze Wiecznego Ognia... Mówią wydarte falom fiordów północnych pieśni skaldów i czyny wikingów, mówią wszystkie fantazje i wszystkie legendy, poczynawszy od zrodzonej w żarach arawijskiej pustyni, promiennej strofy Genesis, aż do lśniących nagimi ciałami bohaterów sagi druidycznej i niezmiernej poezji Eddy... Wszystko mi mówi o losie człowieka.

Człowiek. Pierwszy człowiek. Oto mam go, oto wyłonił się z fantazji ludów i stoi mocny, a niewzruszony. Chmury się kłębią nad nim, wyją, płaczą, krwawymi włosami błyskawic szarpia mu czoło, jak wichry szumią w uchu przekleństwem Jehowy. On się oparł na młocie olbrzymim, patrzy w ziemię i mówi jej: Jestem! — Ziemia słucha zdziwiona i przeczuwa już władzę swojego. Ten prototyp pierwszego człowieka, ten twór płomiennej fantazji semitów — nazywa się — Kain.

Nie jest to już brutalne zwierzę kregowe z wszystkimi ostologicznymi cechami troglodytów epoki kamienia łupanego, o potwornej czaszce Nidertalu — jest to już duch, duch jednostki ludzkiej, stojącej na stanowisku zupełnego samopoznania. Ta jednostka z bronią w ręku ośmiela się upominać o prawa swoje i z całą bezwzględnością pierwotnej psychicznej organizacji — rzuca się na pierwszą napotkaną przeszkodę, ta jednostka nie waha się już ani chwili wydać walkę Jedynej i Najwyższej, w jej pojęciu, Istocie, i ma jeszcze tyle tchu w piersi, a zuchwałostwa w sercu, że śmiałem, krwawiącym się spojrzaniem ciska straszliwemu, mściwemu Bóstwu prosto w twarz swoje wyzwanie, swe nie mniej straszliwe i potężne: — jestem! Nie boi się zemsty, nie boi się krawa-

wej chłosty klęsk najrozmaitszych, chociaż ją czuje na swoim ciele. Gardzi karłem otoczeniem, które umie tylko płakać i korzyć się przed Panem, przerasta je albowiem o głowę i czuje w sobie bezden swojej, ludzkiej siły, swojej wielkiej godności człowieka. Od owego: — jestem — pierwszej niezależnej ludzkiej jednostki, sankcjonującej stwierdzeniem już samego faktu swego istnienia, — wszelki czyn i wszelkie prawa tego czynu — zaczyna się dopiero historia nie grup — stadno-społecznych, a cała tragedia duszy ludzkiej.

Piers Kainów i Kaimitów jest zwykle zbyt wielką, by mózg zmieścić się w świecie jakiegokolwiek formy. Zbyt wiele ma w sobie szczerzej rozlewności życia. Siła niezmierna tętni w każdym jej drgnięciu, wypelza z każdego jej ruchu i musi dla siebie swój świat odrębny wytworzyć, lub jakimś niezmiernym pędem odśrodkowym stary zmienić i rozszerzyć. Jestem — woła owa siła ogromna, rozkoszując się faktem własnego istnienia, — o swój byt nie prosiłam nikogo, bezwiednie zostałam powołaną do życia i z tej racji życie owo musi mi dać wszystko, co mnie może zrobić szczęśliwą. Raz jestem i żyję — mam już swój świat jedyne i odrębny i muszę mieć już przeto samo jedyne i odrębne prawa dla niego. To wszystko, co mnie męczy, co mnie kępuje, musi się skruszyć pod ciosami mego obucha, musi uleść, bo wolność nie jest wolnością — o ile nie jest absolutną. Jestem, więc jestem i wraz ze mną są moje żądze, moje pragnienia, moje czyny i upojenia, mające równą rację bytu i równe jego prawa, jak ja sama.

Kain biblijny, zanim Nietzsche użył pierwszy raz swojego określenia „Uebermenscha“ — był już istotnym nadczłowiekiem. Idea życia, która, wcielając się najsilniej w pewne typy ludzkie, czyni je przeto nadludzkimi — musiała już odzywać się w nim i wołać z całą potęgą w jego myśli. Nie jestem wcale ani entuzjastą, ani uczniem genialnie paradoksalnej filozofii Nietzschego, a jednak, nim ją poznałem — jużem się kochał we wszystkich Kainach.

Zanim przejdziemy teraz do dziejów tej już od razu oderwanej i traktowanej oddzielnie ludzkiej jednostki — ciekawem może byłoby przejrzeć, jak ta buntownicza jednostka ludzka filozoficznie przysła do świadomości wyodrębnienia swego i swojego samopoznania.

W labiryncie pytań o tem, czem jest wszystko, lub co jest wszystkim, gdzie ów mianownik ogólny, do którego daliby się sprowadzić świat i człowiek, zarówno jak ich stosunek do siebie i intesywność ich wzajemnej zależności — badająca myśl filozoficzna kurczo-

*) Witold Gozdawa-Godlewski — ur. 18/IV 1879
† 24/V 1899. W numerze następnym damy o nim szkic biograficzny skrócony przez p. Adama Siedleckiego.

wo, namiętnie czepia się tylko jednej rzeczy, o której coś wie, t. j. siebie. Na tym kamieniu węgielnym wyrastają już z kolebki ludzkości tak wizyjne Upaniszady, jak mistyczne marzenia Laotse'go w Chinach, tak przepastne wchłonięcie się Buddyzmu, jak wreszcie twórczość największych filozofów greckich u zenitu rozwoju swojego. Człowiek czuje tylko rzecz jedną — świadomość istnienia, czuje ją w całej pełni tylko w sobie i przeto ta świadomość jest jego osobistą, indywidualną świadomością własnego istnienia. „Cogito — dubito, dubito — ergo sum“ — woła ojciec metafizyki nowoczesnej Kartezjusz, szczęśliwy, że na tym niezbitym postulatcie własnych myśli i własnych wątpliń — może oprzeć nareszcie fakt bytu swojej jaźni. Jednocześnie prawie Spinoza znajduje ją i roztacza w swoim panteizmie Substancyi i Bytu, a empiryści angielscy z Bakonem, Hobbesem i Lockiem na czele z brutalną pewnością anglo-saksów apoteozują tę biedną jaźń ludzką do tego, że w cały świat wierzą tylko o tyle — o ile wynika z jej doświadczenia i jest oparty na pomysłnym wyniku jej badań.

„Wiemy, iż dusza i myśl egzystuje, lecz równie dobrze wiemy, że jest ona białą kartą, na której piszą doświadczenie i badanie“ — oto credo empirystów angielskich. Kartezjusz, Spinoza, chcieli zatrzymać w swojej odrębnej, oderwanej jaźni ludzkiej choć cokolwiek z ponad niej i wtłoczyli w nią jakoby wrodzoną ideę Boga — Lock całą potęgą genialnego rozumowania uderzył w tę ostatnią scholastyczną pozostałość filozofii nowoczesnej. Nic nie wiemy za wyjątkiem tego, co jest wiedzą. Składa się na nią połączenie naszych idei, idee poznajemy tylko przy pomocy badań i doświadczeń, a przeto wiedza nasza nie wychodzi z poza ich granic. Możemy zaś badać, albo przy pomocy czuć, albo przy poznawaniu wewnętrznej działalności duszy naszej, czyli rozśladku. Czucia dzielą się na proste i skomplikowane, odzwierciedlające się w duchu, i alfabet wiedzy opiera się przeto na tych czuciach elementarnych, wyobrażenie światła np. daje nam się przy pomocy wzroku, dźwięki opierają się na naszych czuciach akustycznych; uzupełniają zaś go dopiero owe wyższe, więcej skomplikowane formacje czuciowo-mysłowe. Tych znamy trzy rodzaje, trzy klasy: idee zmian, (przestrzeń miara), idee czasu (wieczność), idee procesu myślowego (wrażenie, wspomnienie) — oto nasz cały aparat poznania w jego pierwotnym, empirycznym zarysie.

Zatrzymaliśmy się nad nim trochę dłużej, bo tu widzimy myśl ludzką, starającą się na możliwie naukowych podstawach oprzeć wydobytą ze siebie prawdę wszechświata. Pomi-

mo całą bezwzględność tych pierwszych prób indukcyjnego myślenia. I tu jednak słyszymy zgrzyty, widzimy, jak na skrzydłach zrywają się upiory najrozmaitszych wątpliwości. Już Hobbes, może jeszcze śmielszy i może jeszcze praktyczniejszy, kwestyonuje całkiem możność poznania przez ludzką jednostkę prawdy świata. „Wiedza powstaje z wrażeń — woła — utrwała się i udziela przez słowa, a te, niestety, oznaczając wiele rzeczy podobnych, nabierają cech ogólnych, tkwiących tylko w wyrazach i w pojęciach, a nie w samych rzeczach“.

I tu więc człowiek nie wyszedł poza siebie. Został samotny wobec tajemnicy kosmosu. Zamiast wieczystej prawdy jego — mógł uznać tylko swoje względne pojęcie o niej i równie względne jej zrozumienie.

Nie utrudniajmy sobie i bez tego ciężkiego zadania balastem filozoficznym. Zbyt dobrze wszyscy znamy późniejszy rozwój jego. Zbyt długo zgłębialiśmy względność poznania Kantyanizmu lub Hegłowską tożsamość przeciwstawień. Zbyt dobrze wiemy, iż epigon metafizyki niemieckiej posępny mędrzec z Frankfurtu wyszedł znowu z Kartezjuszowskiego założenia, modyfikując je w ten sposób: chcę — więc jestem! To równie dobre i prawdziwe, lecz więcej dzisiejsze. Schopenhauer w tej apoteozie woli i poniekąd pragnienia, zbyt się odzwierciedlił w Nietzsche'm i Wagnerze, aby nie był duchowo spokrewnionym ze wszystkimi nami.

Więc metafizyka, wychodząc z aksjomatu, czy to wątplenia i myślenia jaźni ludzkiej, czy jej czucia i woli — doszła do rezultatu i pewniku, że owa jaźń egzystuje. Berkleyzm i Kantyanizm, jak niegdyś mądrość Upaniszadów i Buddyzmu, zakwestyonowały możność poznania absolutnej prawdy świata zewnętrznego przez ową jaźń nieszczęśliwą, ustawicznie ludzoną przez zmysły, słusznie twierdząc, że one są zbyt słabą rękojmnią poznania, — lecz ten sam Kantyanizm nie może zaprzeczyć, że każdy subiekt poznający, ma świat takim, jakim on się jemu wydaje, czyli że ma swoją osobistą i najlepszą, bo jedynie możliwą, prawdę jego. Jeżeli inna soczewka ocna pająka, jeżeli pozbawione jej zupełnie mięczaki i robaki, widzą świat zupełnie innym, niżli inne, wyższe ustroje — niema to znaczyć według mnie, że się ludzą, że świat i życie jest właśnie takim, za jakie go mają typy kręgowców. Nie! I pajak i mięczak, i człowiek, i widząc w jednym i tym samym świecie, aż trzy odmienne — mają rację. Każdy z nich ma swoją

*) Lock: „Badania nad ludzkim rozumem“.

prawdę niezależną i zupełną i każdy swój świat, w którym jest zarazem zupełnym Pustelnikiem, jak jedynym Panem i Władzcą.

Weźmy typy z życia, spójrzmy na rwące krainy ducha! Kto udowodni, że różowe szkła marzyciela, że załamana w wodospady najszlachetniejszych popędów i uczuć dusza altruisty — ma jakąś swoją większą prawdę, jakąś większą rację bytu, niż czarne, bezlunne nocy pesymizmu, lub brutalny, zwierzęcy krzyk egoistów, zdzierających płaszcze z każdej świętości, byle mózgi nimi otulić siebie? Kto może upewnić, że nie jest prawdą wizyjne majaczenie poety, a jest właśnie takową — suchy selest bezzębnych warg starca-pozytywisty? Kto ośmieli się powiedzieć, że świat hallucynatów i wizjonerów, świat szarów i haszyszowych upojeń, świat orlich wzlotów i bolesnych upadków Ikara, świat mąk i rozkoszy, konwulsyjnych załamań rozpacz i otchłannych wołań pragnienia — jest gorszym od świata cyfry i rachuby, od świata codzienności, pleśni i szarej prozy życia — jest nikczemniejszym od świata pracy i poświęcenia, od świata bólów prawdziwych, fizycznych i prawdziwej życiowej niedoli? One wszystkie są inne i wszystkie dobre i wszystkie prawdziwe... Pająk, mięczak i człowiek, z racji innych soczewek ocznych, mają trzy swoje inne, zewnętrzne światy, a my chcemy, aby dusze ludzkie, dusze lepiące z gliny i z kału, z złota i z granity, z łez rosy i z piorunowych westchnień błyskawicy, duszy pełne niezmiernej melancholii cyprysów i lubieżnego rozpojenia się życiem, dusze tak inne, tak rozmaite, a tak przerazliwie wielkie w tym przepychu i rozmaitości swojej, aby te dusze mogły się zmieścić w jednym i tym samym świecie, wierzyć w jedne i te same ideały i wyznawać prawdy te same?

Dusza parweniusza i dusza artysty, orli lot zapaleńca i powolne pełzanie matematyka, skarłałość nikczemnika i słoneczna powaga bohatera, duchy, dusze i duszyczki — mają grzęznąć w jednakowym błocie społeczno-obyczajowych kodeksów towarzyskich, mają otulać swe zaropione rany, swą krew, swe łzy, swój ból i pogardę swoją jednym i tym samym dziurawym płaszczkiem koszlawej moralności dewotów i filistrów? Miłość zonkosia, miłość „piwowara niemca“ do żony niemki — ma podlegać tym samym prawom, co otchłanne majaczenie o uczuciu, jakie leży na dnie serca każdego artysty, albo wierne, psie przywiązanie się człowieka, stworzonego tylko poto, aby choć i być kochanym!... Kto ośmieli się dziś wygłosić ten paradoks, dziś wobec wycia tych tysięcy dusz, którym ciasno, wobec łkania tych milionów, którym duszno, wobec stosów popiołu, jedynego śladu wszystkich tych, którzy

umarli z braku powietrza, a żyli przez wieki tylko po to, aby cierpieć?... Nie! Niema Prawdy i Nieprawdy, niema światów złych i dobrych — jest tylko jeden zupełnie odrębny i inny świat duszy u każdego, który ma swoje pragnienia, ma swoje prawa i ma rację dochodzić ich, wołać o nie, bez względu na to, czy są to szale rewolucyjne, czy ascetyczna ekstaza, czy suchotniczy mistycyzm Tolstaja, czy banalna radość i mieszczańskie rozpojenie się życiem Nietzschego. Niech walczą te światy dusz — najgodniejsze z nich wybierze i powoła do siebie samo życie.

Każda dusza jest nadludzka nie w znaczeniu wyższości, a odrębności, bo innej takiej niema, jak świat długi i szeroki, i każdy świat jest prawdziwym, bo światem jaźni ludzkiej, która go po to z siebie wydała, że nie wydać nie mogła, że tworząc go, tworzyła zarazem jakąś krainę mistyczną dla siebie, i z siebie, aby być tam największym Pustelnikiem i zarazem Władzcą największym.

